

Rozdział 1: Rodzina

Julmargo: Prawda Trojga

Mateusz Palczewski – www.julmargo.com

Wrocław w marcu smakuje jak zimna herbata z cytryną – jest niby odświeżający, ale zostawia w ustach cierpki osad. Stałem na balkonie naszej kamienicy na Nadodrze, patrząc, jak światła latarni odbijają się w kałużach. Powietrze było wilgotne i pachniało nadchodzącym deszczem, a ja czułem się tak, jakbym zaraz miał rozsadzić własne ubranie.

To nie było zwykłe uczucie bycia „dużym dzieciakiem”. Miałem dwanaście lat i teoretycznie powinienem być tym najmniejszym, najsłabszym, tym, którego starsze rodzeństwo przegania z pokoju. Ale od kilku miesięcy moje ciało stało się... obce. Każdy krok wydawał się zbyt ciężki, każda klamka zbyt delikatna. Kiedy szedłem do szkoły, miałem wrażenie, że chodnik jest zrobiony z plasteliny.

– Ignacy! Jeśli jeszcze raz zobaczę twoje brudne trampki na środku przedpokoju, to przysięgam, że nauczę je latać prosto przez okno! – Głos Julki przeciął wieczorną ciszę niczym dobrze naostrzony nóż.

Westchnąłem, odrywając dłonie od barierki. Kiedy na nie

spojrzałem, zauważyłem coś dziwnego. Przez ułamek sekundy skóra na moich kostkach wydała się dziwnie matowa, niemal szara, jakby na moment zamieniła się w pancerz. Zamrugalem gwałtownie. Zniknęło. Ale uczucie „masy” pozostało.

Wszedłem do środka. Nasza kuchnia była sercem codziennego chaosu. Przy stole siedziała moja siostra – siedemnaście lat, blond włosy upięte w niedbały kok i ten jej wzrok, który sprawiał, że nawet największy łobuz z mojej klasy nagle chciałby jej przynieść kwiaty. Julka była z nas najstarsza i po mistrzowsku zarządzała naszym domowym mikrokosmosem. Miała w sobie coś magnetycznego; kiedy mówiła, po prostu chciało się jej słuchać. Nawet jak na ciebie krzyczała o buty!

Obok niej Marmar, mój piętnastoletni brat, siedział nad rozbebeszonym tosterem. Marcel był w tym wieku, w którym większość chłopaków myśli o grach, ale on wolał wiedzieć, dlaczego gry działają. Miał na nosie okulary, które ciągle mu zjeżdżały, a w dłoni trzymał pęsetę.

– To nie trampki, Julka. To „instalacja artystyczna pod tytułem: Powrót z treningu” – mruknąłem, mijając ją i próbując zachować dystans. Bałem się, że jak ją przypadkiem potrączę, to polecą na drugi koniec kuchni.

– Gogo, nie filozofuj, tylko je sprzątnij – rzuciła Julka, ale w jej

głosie nie było już złości. Uśmiechnęła się do mnie tak, że poczułem się... bezpieczniej. To była jej moc, choć wtedy myśleliśmy, że to po prostu „urok osobisty”. Ludzie przy niej łagodnieli.

- Marmar, co ty tam znowu widzisz? - zapytałem, nachylając się nad bratem.

Marcel nie odpowiedział od razu. Jego oczy, zwykle spokojne, teraz gwałtownie przeskakiwały z jednego kabelka tostera na drugi.

- Tu jest coś nie tak - szepnął Marmar, jakby mówił do siebie. - Tu nie chodzi o spięcie. Ten miedziowany styk ma niewłaściwą ... gęstość. To nie powinno tak wyglądać, Gogo. To wygląda, jakby ktoś celowo zaprogramował ten metal, żeby pękł po tysiącu uzyć. Może tak ci producenci nakręcają teraz biznes?

- Programować metal? Weź przestań, to tylko toster za pięć dych - mruknąłem, ale Marmar pokręcił głową. On zawsze widział więcej. Twierdził, że świat to nie zbiór przedmiotów, ale siatka połączeń, kod, który można odczytać, jeśli tylko wystarczająco mocno się skupisz.

Drzwi wejściowe otworzyły się z ciężkim kliknięciem. Do domu weszli rodzice. Oboje pracowali w laboratorium biotechnologicznym i zwykle wracali pełni energii, dyskutując o nowych badaniach. Ale dzisiaj było inaczej. Mama była blada, a tata nerwowo poprawiał pasek torby, rzucając szybkie spojrzenia na

klatkę schodową, zanim zamknął drzwi na wszystkie zamki.

- Dzieci, jesteście w domu? - zapytała mama, a jej głos drżał w sposób, który sprawił, że na moich rękach pojawiła się gęsia skórka. A może to nie była gęsia skórka? Czułem, jak powietrze wokół mnie zaczyna pulsować.

- Jesteśmy, mamó. Coś się stało? - Julka wstała, natychmiast wyczuwając zmianę nastroju. Jako siedemnastolatka była naszą pierwszą linią obrony przed dorosłymi problemami.

- Musimy porozmawiać - zaczął tata, siadając przy stole. - Ale najpierw... zjedzmy kolację. Taką zwyczajną, rodzinną kolację. Proszę.

To „proszę” zabrzmiało jak pożegnanie.

Jedliśmy w dziwnej, dusznej ciszy. Ja czułem się coraz gorzej. Każdy kęs pieroga wydawał mi się ciężki jak kamień, a moje krzesło zaczęło trzeszczeć pod moim ciężarem, choć przecież ważyłem tyle, co każdy dwunastolatek.

- Gogo? Wszystko w porządku? - zapytał tata, patrząc na moje dłonie zaciskające się na widelcu. Widelec był teraz wygięty w literę „U”, a ja nawet nie poczułem, kiedy to zrobiłem.

- Ja... nie wiem, tato. Czuję się, jakbym był... gęstszy? Jakby ziemia przyciągała mnie mocniej niż zwykle.

Rodzice wymienili spojrzenie. W oczach mamy zobaczyłem czyste przerażenie, ale też dziwną dumę.

- Julia, a ty? - zapytała mama. - Nadal te sny o dźwiękach?

- To nie sny, mamó - odpowiedziała Julka, odgarniając włosy. - Dzisiaj na kółku muzycznym śpiewałam i... pękły wszystkie lustra w sali. Nauczycielka myślała, że to przeciąg, ale ja czułam, jakby mój głos był fizyczną falą. Jakbym mogła nim uderzyć.

W kuchni zapadła cisza tak gęsta, że ledwo mogłem oddychać.

- To się zaczyna - szepnął tata do mamy. - Triada się aktywuje. Nie zdążyliśmy ich ukryć.

- Kto się aktywuje? Tato, o czym ty mówisz? - Marmar odłożył pęsetę. Jego *spostrzeganie* pracowało teraz na pełnych obrotach, bo patrzył na tatę tak, jakby widział jego przyspieszone tętno pod skórą szyi. - Kłamiesz. Twoje tętno to 110 uderzeń na minutę, a mięśnie twarzy drgają w sposób, który oznacza strach przed...

Nagle zgasło światło. Całe Nadodrze utonęło w mroku.

Na dole, na ulicy, rozległ się pisk opon. Potem trzask zamykanych drzwi samochodu. Jeden, drugi, trzeci.

- Marek? - mama szepnęła, błędąc gwałtownie.

- Są tutaj - odpowiedział tata, dopadając do okna. - Eterna Corp. Znaleźli nas. Elena, bierz dzieci do sypialni. Teraz!

- Ja nigdzie nie idę! - krzyknęła Julka, a jej głos odbił się od ścian z taką siłą, że szklanki na stole podskoczyły. - Co to za ludzie?!

- Julka, pilnuj braci! - tata złapał mnie za ramiona. - Gogo, słuchaj mnie. Jesteś najmłodszy, ale jesteś naszą tarczą. Cokolwiek wejdzie przez te drzwi, nie pozwól, żeby dotknęło twojego rodzeństwa. Rozumiesz?

Poczułem, jak w moich żyłach zamiast krwi zaczyna płynąć płynny ołów. Strach, który jeszcze przed chwilą mnie paraliżował, nagle zamienił się w coś innego. W siłę. Stałem w przedpokoju, blokując przejście. Julia stanęła za mną, trzymając rękę na ramieniu Marmara.

W drzwiach wejściowych rozległ się potężny huk. Stalowa ościeżnica wygięła się do środka.

W ciemności zobaczyłem czerwone punkty wizjerów. Ludzie w

czarnych pancerzach wpadli do środka z gracją drapieżników.

- Zostawcie ich! - ryknąłem.

Nie wiedziałem, co robię. Po prostu pchnąłem powietrze przed sobą obiema rękami. Fala uderzeniowa była tak silna, że pierwszy z napastników wyleciał z powrotem na klatkę schodową, taranując swoich kolegów. Moja skóra na ułamek sekundy stała się twarda jak diament.

- Nie dotykajcie mojej rodziny - warknąłem, a mój głos nie należał już do dwunastolatka.

Walka o nasze życie właśnie się zaczęła. A my właśnie przestaliśmy być zwykłym rodzeństwem z Wrocławia.